



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 272

Wielki  
Książę  
IDZIE ŻOŁNIERZ BOREM,  
LASEM...



WARSZAWA 1916.

272 leg. 146.

# IDZIE ŻOŁNIERZ BOREM, LASEM...

1914 — 1915

WYDANIE DRUGIE



WIERSZE I ZAPISKI EDWARDA SŁOŃ-  
SKIEGO O POLSCE, O WOJNIE, I O  
ŻOŁNIERZACH WYDANE NAKŁADEM  
-- TOWARZYSTWA «NOWINA» --

575

WYDAWCA  
KSIĘGARNIA

WYDAWCA  
KSIĘGARNIA



*ŻONIE I DZIECIOM POŚWIĘCAM.*

TA, CO NIE ZGINEŁA...



Rozdzielił nas, mój bracie,  
zły los i trzyma straż —  
w dwóch wrogich sobie sząncach  
patrzymy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku,  
wysłuchani w armat huk,  
stoimy nawprost siebie —  
ja — wróg twój, ty — mój wróg!

Las płacze, ziemia płacze,  
świat cały w ogniu drży...  
W dwóch wrogich sobie szaińcach  
stoimy ja i ty.

2

Zaledwie wczesnym rankiem  
armaty zaczną grać,  
ty świstem kul morderczym  
o sobie dajesz znać.

Na nasze nizkie szaińce  
szrapnelów rzucasz grad  
i wołasz mnie i mówisz:  
— To ja, twój brat... twój brat! —

Las płacze, ziemia płacze,  
w pożarach stoi świat,



a ty wciąż mówisz do mnie:

— To ja, twój brat... twój brat! —

3

O nie myśl o mnie, bracie,  
w śmiertelny idąc bój,  
i w ogniu moich strzałów,  
jak rycerz, mężnie stój!

A gdy mnie zdała ujrzysz,  
odrazu bierz na cel  
i do polskiego serca  
moskiewską kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę  
i co noc mi się śni,  
że ta, CO NIE ŻGINEŁA,  
wyrośnie z naszej krwi.

We wrześniu 1914 r.

SEN O SZPADZIE  
DO MEGO SYNA.

Gdy dym pożarów słońce gasi  
i coraz krwawszy huczy bój,  
ty mnie nie pytaj, czy to nasi,  
czy to nie nasi, synu mój!

Ty mnie nie pytaj kto zwycięża,  
czyj tryumfalny słyhać śpiew —  
naszego niemasz tam oręża,  
choć się nasza leje krew.

O synu mój, na wszystkich frontach  
od płowej Wisły, aż po Ren,  
przy zapalonych stojąc lontach,  
my swój o Polsce śnimy sen.

Niszczą grody, płoną wioski,  
świat cały — ognia krwawy sęp,  
a chłop poznański i krakowski  
kładą się u wrót naszych w grób.

A my? O los nasz, zbądź się troski!  
i nas dosięgnie krwawy cios!  
Wszak celnie strzela chłop krakowski,  
kiedy się Polski waży los.

Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie!  
To w niemilkącym huku dział  
nasz sen rycerski, sen o szpadzie  
wreszcie się dzisiaj jawą stał.

3 marca 1915 r.

## CZY TY WYROŚNIESZ?

Czy Ty wyrośniesz z tych czerwonych ran,  
które żołnierzom siwy mróz całował,  
Ty krwią dymiąca od progów do pował,  
mrąca na gruzach postrzelanych ścian?

Czy znów pszenicą porośnie Twój łan,  
który wróg ogniem orał i tratował,  
i kto, o Polsko, będzie Cię budował,  
komu dziś w ręce włoży kielnię Pan?

Czy krwią wpisana w księgi ludzkich dziejów,  
Ty znajdziesz dzisiaj Piastów Kołodziejów,  
którym anioły każą czynić ład?

Czy krew Twa wsiąknie w bezpłodne ugory  
po to, by z niej się wylęły upiory  
na grobach, w które brata spychał brat?

---

## KTO CIEBIE CHCIAŁ TEN WIERZYŁ...

### 1

O Polsko, Polsko, Polsko,  
kto Ciebie chciał, ten wierzył,  
że dobry Bóg się z Tobą  
w te krwawe dni sprzymierzył.

Kto Ciebie chciał?.. Nie pytaj,  
czy chcących było wielu —  
żołnierskie policz groby  
od Brześcia do Wawelu,

junakom zajrzyj w oczy  
aż tam pod Białowieżą  
i wiedz, że tacy sami  
w żołnierskich grobach leżą.

Że ledwie polska szabla  
u naszych bram zadzwoni  
ci, którzy nie wierzyli  
uwierzą tak, jak oni...

I staną pod Twym znakiem  
w żołnierskiej szarej zbroi,  
ci wczoraj niewierzący  
dziś już mściciele Twoi.

2

O, Polsko, Polsko, Polsko  
łuny się wkoło szerzą,

na gruzach twierdz zdobytych  
zwęglone trupy leżą.

Lecz patrz — już dzień Twój świta —  
ktoś w ogniu dział i w dymie  
krwią własną na sztandarach  
Twoje święte kreśli imię.

Ktoś krew swą żyzną rosą  
na Twoje rzuca piaski...

— Niech będzie cześć i chwała  
żołnierzom z Bożej łaski! —

22 sierpnia 1915 r.



## SZŁY TĘDY PUŁKI KOZACKIE...

1

Szły tędy pułki kozackie,  
orężna szła tędy moc,  
płakały pieśni sołdackie  
pod oknem przez całą noc:

«Gdzie wasze żony i siostry,  
mołojcy z dalekich stron?  
— Karabin i bagnet ostry,  
to nasze żony i siostry  
i step i błękitny Don!..

Gdzie wasze grody i sioła,  
kolebka wasza i schron?

— Na bój ojczyzna nas woła,  
tam nasze grody i sioła  
i step i błękitny Don!..»

Dzwoniły szable kozackie  
melodyę do prostych słów  
i w mroku pieśni sołdackie  
to rosły, to miłkły znów...

2

Nie mogłem zasnąć do rana,  
wstawałem i chciałem biedz,  
o ziemio moja kochana,  
ojczyzno moja bez miedz!

Jakoż mam iść ciebie bronić,  
za ciebie dać moją krew,

jakoż mam szablą zadzwonić,  
wsiąść na koń i rzucić zew,

gdy ty bez kopców, bez granic  
otwarta ze wszystkich stron,  
w tych pieśniach z kozackich stanic  
zgubiłaś wielki swój ton?

Gdzie pójdę, na jakim szlaku  
śmiertelny dziś stoczę bój,  
ja żołnierz z pod twego znaku,  
pancerny towarzysz twój?

Zczerniały mi w bojach lica,  
śmierć niosę — śmierć w sobie mam!  
«Bogarodzica, Dziewica,  
Ty ziści i spuści nam!»

3

I znowu dźwięk szabel ostry  
przyplynał ze wszystkich stron...

«Gdzie wasze żony i siostry  
i step i błękitny Don?..

O, Polsko, dotąd mi jęczą  
te głosy: — To los, nasz los! —  
Gdzież szable, które tak dźwięczą,  
jak ostrza twych chłopskich kos?

Gdzie są te szable?

Gdzieś blisko,  
gdzieś przy mnie wre krwawy bój..  
Kowalu, rozpal ognisko  
i polską szablę mi kuj!

11 października 1914 r.

## WIOSNA

Ludzie mówią o wiosnie:  
— Przyjdzie tu lada dzień,  
słysząc, jak trawa rośnie  
od ciepłych wiatru tchnień.

— W nocy coś ze snu budzi  
szumem wezbranych rzek...—  
Więc pytam dobrych ludzi,  
czy wszystkim stopniał śnieg?

Mówią mi dobrzy ludzie:  
— Jeszcze się czerni błoń,  
ale już gdzieś po grudzie  
bije kopytem koń.

— I trąbka się odzywa,  
raz w raz zaczyna grać...  
Coś w nocy ze snu zrywa,  
coś nie pozwala spać...—

I prawda — trawy rosną  
i świat się budzi wkrąg...  
O przyjm, idąca wiosno,  
ofiarę z naszych rąk!

---

## O POLA KRWIĄ NAPOJONE!

Ziemię cierniową koroną  
kolczastych drutów spowita,  
łuną pożarów czerwoną,  
jak baldachimem, nakryta!

Zdeptały żyzne Twe łono  
kozackich watah kopyta,  
wsie płoną i lasy płoną,  
a dzień Twój jeszcze nie świta.

I słońce Twoje nie wschodzi,  
choć krwią już wezbrały rzeki...

Gdzież jest królewski Kołodziej  
z pachnącej miodem pasieki?

O, pola krwią napojone,  
gdzie Kmieć ów, on człowiek boży,  
co ręce swe utrudzone  
na wasze rany położy?

O, pola krwią napojone,  
stojące w łunach, jak w zorzy,  
z kolczastych drutów koronę  
na głowę swoją kto włoży?

21 września 1915 r.



## OJCZYŻNA

1

Przehandlowaliśmy na nic  
swój znak i graniczne kopce —  
i dziś dla nas niema granic  
i swoim jest wszystko obce.

Takeś wyrosła nam ślicznie  
i takeś się rozszerzyła  
bezzbrojnie i bezgranicznie,  
serdeczna ojczyzno miła!

Rozsiadłaś się w obcych grodach,  
ty polna, rolna i wiejska,  
we krwi kąpana i w miodach,  
rycerska i kołodziejska.

Rozsiadłaś się w obcych grodach,  
na świata wielkiej połowie,  
o twoich głodach i chłodach,  
ojczyzno, nikt się nie dowie.

Nikt się nie wzruszy do płaczu,  
kiedy gdzieś ozwie się czasem  
pieśń o żołnierzu tułaczu,  
co chodził borem i lasem.

Bo dzisiaj ty przebogata,  
bezmiedzna i bezgraniczna  
zajęłaś połowę świata  
i jesteś wielojęzyczna.

Ci mówią tak, ci inaczej –  
ci nawet i... po mongolsku,  
więc któż zrozumie, co znaczy  
żołnierska piosnka po polsku.

Nie rozumieją – i dobrze!  
co komu do naszych głodów,  
co komu, że kiedyś chrobrze  
szliśmy na czele narodów!

Wszak z naszych snów bohaterskich  
dziś nie zostało nic prawie,  
choć w strzępach płaszczów żołnierskich  
ty jeszcze pióra masz pawie.

2

Wędruję gdzieś borem, lasem  
i z głodu przymieram czasem,

dalekim wciąż idę krajem,  
nad Wołgą, czy nad Dunajem,

przez lotne włokę się piaski  
żołnierzyk ja z bożej łaski,

znaczony na piersiach blizną  
za ciebie, miła ojczyzno!

Nad Wołgą, czy nad Dunajem  
ty dla mnie kwiecisz się majem,

na moje weselne gody  
pod lipą gdzieś sycisz miody —

i matką tyś mi i swachną,  
choć skiby twe grobem pachną.

3

O ziemi, ojczyzno moja,  
ojczyzno bez miedz, bez granic,

stępiła się moja zbroja  
i odzież zdarła się na nic.

Z dalekich dziś wracam szlaków  
z nad Wołgi, czy z nad Dunaju,  
ojczyzno wędrownych ptaków,  
co wiecznie są na wyraju!

Do twego łona się garnę,  
ty matko moja i swachno!  
Twe skiby mokre i czarne  
tak pachną, tak grobem pachną!

---

## ROZDZIOBIĄ NAS...

Rozdziobią nas kruki, wrony  
na obcych pobojuwiskach,  
strach ślepy gość nieproszony  
siądzie przy naszych ogniskach.

Pójdziemy głodni i chłodni  
bez domu i dachu wszędzie,  
a wschodni wiatr i zachodni  
każdy nam w oczy wiać będzie...

W listopadzie 1914 r.

NA ZGLISZCZACH





1

Te pola, które deptał  
i ogniem orał wróg,  
chabrami i rumiankiem  
zasieje z wiosną Bóg.

Porosną wonnem zielem  
żołnierskie groby wkrąg,  
zadzwonią ostre kosy  
śród naszych pól i łąk.

I chabry i rumianki,  
wieńczące każdy grób,  
żołnierzom, co polegli  
pokłonią się do stóp.

Pokłonią się niziutko  
tym smutnym grobom wkrąg  
od tej podartej ziemi  
od tych zdeptanych łąk.

2

Te domy, które burzył  
morderczym ogniem wróg,  
powoli odbudować  
pomoże dobry Bóg.

Na zgliszczach, co wystygły  
we mgle jesiennych słońc  
zadzwoni lekka kielnia,  
uderzy ciężki młot.

Tak stare nasze smutki,  
radości, łzy i śmiech  
wniesiemy w nowe kąty  
w podcienia nowych strzech.

Piastowym obyczajem  
gościowi u swych wrót  
pod lipą postawimy  
sycony z plastrów miód.

I opowiemy, kreśląc  
na czołach krzyża znak,  
o Tej, co nie zginęła,  
a której wciąż nam brak!

29 listopada 1914 r.

## BOCIANY

Na strzechach naszych bociany  
z wiosną swych gniazd nie poznają —  
łan, jak gościniec zdeptany,  
gościńcem kule latają.

Nad wód wezbranych topiełą,  
gdzie dzień się kąpał co rano,  
dziś siwe dymy się ścielą  
i myją wodą wiślaną.

Za lasem grają armaty,  
a po wsi ledwie rozdnieje  
chodzi od chaty do chaty  
wiatr, który w oczy wciąż wieje...

A tam, jak jakieś organy,  
armaty grają i grają...  
Na wiosnę polskie bociany  
swych polskich gniazd nie poznają...

Ferdynandowi Ruszczycowi  
1915.

## W SŁOŃCU I KWIATACH

Słońcem i kwiatami, słońcem i kwiatami,  
deszczem i rosami błogosławi Bóg  
ziemi, którą długo orał kartaczami,  
znaczył mogiłami i zgliszczami wróg.

Jeszcze bój się sroży, ziemia pod nogami  
drży w ognistym wieńcu purpurowych smug,  
a już dobre wieści płyną dolinami,  
słońcem i kwiatami kładą się na próg.

Smieją się dokoła dziecinne radości,  
modli się gdzieś w niebie srebrnogłosy śpiew,  
ze spalonych włości wyszli ludzie prości  
na żołnierskie groby rzucać złoty siew.

— Leżcie... cicho leżcie, nieproszeni goście,  
w szumach traw rosnących i kwitnących drzew!  
Przyjmą was gościnnie dziadów naszych koście,  
przyjmie was gościnnie ojców naszych krew!

— Spadną ciepłe deszcze, spadną srebrne rosy  
na błękitach tęcze porozwiesza Pan —  
i na waszych grobach zafalują kłosa,  
do stóp waszych polski pokłoni się łan!

W maju 1915 r.

## D Z I A D

Zioła wyrosłe w lecie  
jedyny ślad po rycerzach...

*W. Sieroszewski.*

### 1

Na polu, kędy najkrwawszą  
stoczono bitwę przed laty,  
wyrosły z deszczów i słońca  
pachnące zioła i kwiaty.

I tam, gdzie ongi najsrożej  
rycerskie zwarły się szranki,  
dziś krwawią się koniczyny  
i kwitną polne rumianki.



Latają motyle barwne  
i dzieci w słońcu się gonią,  
kosiarze idą z kosami  
i żeńcy sierpami dzwonią.

Nikt nie wie, nikt nie pamięta  
tych imion, które tu leżą,  
gdzie krwawią się koniczyzny  
i gdzie rumianki się śnieżą.

Zmieszały się z ziemią czarną  
kości i zbroje kowane,  
głody i chłody żołnierskie  
we wspólny grób zakopane.

Zmieszały się z ziemią czarną,  
zakwitły kwiatami w lecie  
i dziś zapachem koniczyzn  
wicher je nosi po świecie.

Wyszedł na pole od boru  
dziad stary i małe chłopię —  
oczęta — chabry kwitnące,  
kędziory — płowe konopie...

Dziad miał sto lat i światami  
Bóg wie od kiedy wędrował,  
to modlił się w Ziemi Świątej,  
to gdzieś w Sybirze zimował.

Nosiły go tak po światach  
dziadowskie smutki i troski,  
trzy razy ziemię przemierzył,  
idąc od wioski do wioski.

Sto lat tak szedł i kosturem  
do łona ziemi wciąż pukał,  
jakgdyby miejsca dla siebie  
w czarnych mogiłach jej szukał.

Wyszedł na pole od boru,  
patrzy na zioła i kwiaty —  
pospołu z tymi, co legli,  
i on tu walczył przed laty.

Więc śmieje się sam do siebie  
i mówi: — Czy widzisz, dziecię,  
jak krwawią się koniczyzny  
wyrosłe na grobach w lecie?

— Przechodzą tędy kosiarze  
i żeńcy sierpami dzwonią —  
nikt nie wie, jaką czerwienią  
te dziwne kwiaty się płonią.

— Nikt nie wie na czyje głowy  
śmiertelne spadały ciosy,  
na jakie kośby przed laty  
kosiarze ostrzyli kosy...

I śmieje się sam do siebie  
i młodość swoją wspomina —  
krwią jego własną, serdeczną  
krwawi się ta koniczyna.

4

Prypadło mu do nóg chłopię,  
żałośnie patrzy i woła:  
— Nie chodźmy tędy, nie chodźmy!  
tu pełno śmierci dokoła.

Nalały się oczy łzami,  
jak chabry o zmierzchu rosą —  
śmierć chodzi po koniczynach,  
śmierć chodzi i dzwoni kosą.

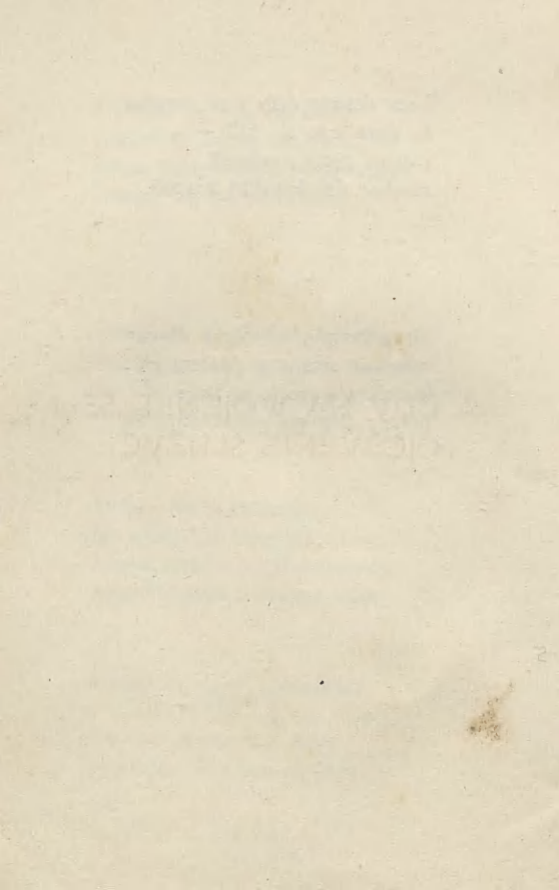
Śmieje się dziad pobłaźliwie  
I mówi: — Nie bój się, dziecię,  
i z nas rumianek i mięta  
tak samo wyrośnie w lecie...

Lecz dziecię drży i ze strachu  
do łona jego się tuli —  
i czuje biały rumianek  
zamiast dziadowskiej koszuli.

5

Drżą kwiaty, jak ciche słowa  
szeptane sennie w pacierzach...  
Te zioła wyrosłe w lecie  
jedyny ślad po rycerzach.

---



A GDY NA WOJENKĘ SZLI  
OJCZYŹNIE SŁUŻYĆ...





A gdy na wojenkę szli Ojczyźnie służyć,  
wicher wiał im w oczy od rozstajnych dróg,  
niebo się nad nimi zaczynało chmurzyć,  
pod deszczową chmurą w polu krakał kruk.

Nikt im iść nie kazał — poszli, bo tak chcieli,  
bo takie dziedzictwo wziął po dziadach wnuk.  
Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli  
za co idą walczyć, komu płacić dług.

Matki się u strzemion synom nie wieszały,  
żony się pod nogi nie kładły na próg,  
dzieci nie płakały, dzieci nie wołały  
ojców, których w polu śmiercią witał wróg.

Poszli śpiewający, krwawym trudom radzi  
ledwie przed świtaniem zagrał złoty róg.  
Matki im mówiły: — Niech was Bóg prowadzi! —  
żony im mówiły: — Niech was strzeże Bóg! —

Tylko w ciemne nocki, kiedy po ugorze  
szedł z pod czarnych borów głuchy armat huk,  
ktoś się cicho modlił w murowanym dworze,  
ktoś w białonej izbie głową bił o próg.

A gdy do Warszawy przez trudy i znoje  
dojść we krwi i ranach pozwolił im Bóg...  
...przypomnieli sobie, że gdy szli na boje  
pod deszczową chmurą w polu krakał kruk!

## W BORACH

Bory! bory! puszcze w błotach drzemiące,  
poła runią wczesnych siewów zielone,  
nocki ciemne mchem i rosą pachnące  
w starych borach nagle ze snu zbudzone!

— Hej, ktoś wołał... A kto wołał i kogo? —  
sosny sosen, buki buków pytają...  
Ludzie idą, jadą polem i drogą,  
kule drogą i bezdrożem latają.

Dzwonią szable, dudnią koła po grudzie,  
łuny świecą gdzieś daleko, jak zorze, —  
wieś się pali... wieś, czy cerkiew?.. — Hej, ludzie,  
pożar stoi gdzieś za borem, czy w borze? —

Równy idzie kolumnami piechota,  
bez dróg pędzą gdzieś ułani na koniach...  
— Hej ochotaż wam, żołnierze, ochota  
w ładownicach śmierć obnosić po błoniach? —

Drzewa szumią — szumy mówią, jak słowa,  
jak szeptane po cerkiewkach pacierze...  
— My idziemy z pod samego Krakowa  
krwią swą znaczyć dawnej Polski rubieżę...

## KIEDY ZGINE...

Kiedy zginę, może przyśnią się tobie  
siwe oczy zabitego żołnierza,  
może cień mój ujrzysz w lustrze przy sobie,  
może głos mój poznasz w szepcie pacierza.

Kiedy zginę, może koń mój bułany  
ciemną nocką do wrót twoich przybieży,  
strząśnie szrony z ogrodowej altany  
i kopytem pod twem oknem uderzy.

Skoczysz ze snu...—Co się stało, mój Boże!—  
Wyrzysz oknem i wypadniesz z komory.  
— O mój miły, takie zimno na dworze!  
Gdzie ty jesteś? Czyś ty ranny, czy chory? —

Zarzy koń mój, skoczy na bok lękliwie...  
— Ty mnie nie gładź swoją ręką pieszczoną,  
ty mnie nie gładź, bo na piersi i grzywie  
mam krew jego, mam krew jego czerwoną.

— Jezus Marya!— krzykniesz we łzach i trwodze—  
Krew czerwona, krew czerwona, jak róże.  
Boże mogił, Boże krzyżów przy drodze,  
czemuś dał mu ginąć w obcym mundurze? —

Zarzy koń mój, nogą w ziemię uderzy,  
jęknie ziemia od Warszawy po Kraków,  
wstaną z grobów cienie śpiących żołnierzy,  
wielkie pułki niezrównanych junaków.

Wstaną z grobów gdzieś z nad Warty, z nad  
[Bzury,  
i głos rzuca: — Bóg się o nas zatrwożył  
i na wszystkie te niepolskie mundury  
polską ziemię, polską ziemię położył.

14 grudnia 1914 r.

## MÓJ MIŁY

W ciężkich butach szedł po bruku mój miły,  
kiedy dzwony na mszę ranną dzwoniły.

Szedł mój miły do rogatki po śniegu  
i żałośnie patrzył na mnie z szeregu

i na drodze nóg tysiącem zdeptanej  
machał ręką, ginąc w dali nieznanej.

Dni mijają, długie noce mijają,  
wichry wieją, białe śniegi padają.



Wielki Boże, drugi miesiąc już minął,  
a on poszedł i ślad po nim zaginał.

Tylko zrana, gdy zadzwonią w kościele,  
pod mem oknem suną szare szynele,

ciężkie buty ciężko idą po śniegu,  
siwe oczy patrzą na mnie z szeregu.

— O mój miły! dokąd idziesz, mój miły?  
Jakie smutki twoje oczy zgasiły?

— Jakie troski sny junackie tve gonia,  
że tak stąpasz, jakbyś giął się pod bronią? —

Idzie miły mój w dalekość nieznaną  
wielką drogą nóg tysiącem zdeptaną,

idzie drogą, macha ręką z szeregów  
mroźnym wichrem mówi do mnie ze śniegów:

– Z tamtej strony w moją stronę wpatrzony  
z karabinem stoi brat mój rodzony.

– Coraz krwawiej straszny bój się rozwija,  
a on na mnie swój karabin nabija,

– a pierś moją coraz mocniej ugniata  
każda kula, którą niosę na brata.

25 stycznia 1915 r.

## PAN BELINA

Jak to było ładnie, kiedy do Lublina  
na karkach moskali wjechał pan Belina!

Jak to było ładnie, gdy potem na rynku  
stanął z ułanami w bojowym ordynku.

Na żołnierskich znakach kędyś nad głowami  
zaszumiały Orły białymi skrzydłami.

I kto chciał to słyszał w Lublinie i wszędzie:  
— Jeszcze nie zginęła... jeszcze jest i będzie!—

Hej, wy dzielne zuchy, wy polscy żołnierze,  
niech was Matka Boska i Pan Jezus strzeże!

Niech was Jezus strzeże, by, jak do Lublina,  
do samego Wilna wjechał pan Bełina

i ogniem i mieczem głosił światu wszędzie:  
– Jeszcze nie zginęła... jeszcze jest i będzie! –

10 sierpnia 1915 r.

## O, MÓJ ROZMARYNIE!

O, mój rozmarynie, o mój ty zielony,  
w mroku pod okienkiem zarżał konik wrony,

jakiś cień w księżycu z nocy się wyłonił –  
pode drzwiami ułan szabelką zadzwonił.

O, mój rozmarynie, ułan pode drzwiami  
zadzwonił szabelką, brzęknął ostrogami...

– Otwórz, gospodarzu, do izby zaprowadź,  
w kącie u komina pozwól przenocować.

Cztery doby zrzędu nie skłoniłem głowy,  
wrony koń mój w polu pogubił podkowy...

— Jakże mam otworzyć tobie, miły bracie,  
gdy ja sama jedna w tej bielonej chacie.

Ojca mi po nocy gdzieś uprowadzili,  
bratu sznur konopny na szyję włożyli.

A drugiego brata, co się ukryć zdołał,  
ktosik od Krakowa po swojsku zawołał.

Odtąd sama jedna, mój miły żołnierzu,  
siedzę czekająca w tym białym alkierzu,

siedzę czekająca co wieczór i rano  
rychło li rozmaryn zakwitnie pod ścianą. —

— Otwórz mi, dziewczyno, otwórz drzwi najszerzej,  
pokłon ci od brata wiozę z Białowieży

i w ułańskiej kurtce głęboko schowany  
list niewprawną ręką na siodle pisany. —

— O, mój rozmarynie z pod bielonej ściany,  
ułań list mi przywiózł na siodle pisany.

Ojca niema w domu, brata niema w domu,  
a ty, rozmarynie, nie powiesz nikomu.

Nie powiesz nikomu, mój kwiecie jedyny,  
że był u dziewczyny ułań od Beliny...

6 września 1915 r.

## GRÓB STRZELCA

### 1

Pod cerkiewką bez ikon i dzwonów,  
skąd moskiewskie cofnęły się hufce,  
padł od kuli towarzysz z legionów,  
polski żołnierz w siwej maciejówce...

Wykopali mu grób w złotym piasku,  
grób zieloną darnią okryli  
i pod krzyżem przy świętym obrazku  
maciejówkę z orłem położyli.



Lecą liście z drzewa, lecą liście,  
płacze szary dzień, jak chłopska doła,  
«Requiescat» śpiewa legioniście  
wiatr wiejący z niezżętego pola...

2

Dymy wstają ze spalonej wioski,  
po cerkiewnym włóczą się cmentarzu,  
a w cerkiewce istny dopust boski —  
w nocy pop się powiesił w ołtarzu.

Sam generał ikony i dzwony  
kazał zabrać, wydał rozkaz krótki,  
pop ze strachu pił i bił pokłony,  
pop pił wódkę i oszalał z wódki.

Nie zdążyli carscy czynownicy  
zabrać z sobą świętego wisielca,

więc dziś patrzy ten żandarm w spódnicy  
na mogiłę krakowskiego strzelca.

Dymy wstają ze spalonej wioski,  
z płonącego gdzieś za cerkwią stogu...  
— Jak śmiał taki buntowszczyk krakowski  
dać się zabić na cerkiewnym progu? —

Dymy wstają ze spalonej wioski,  
wiatr na dachu skrzypi chorągiewką...  
— Śpij spokojnie, żołnierzu krakowski,  
pod tą starą unicką cerkiewką...

— Żłoty piasek na oczach twych leży,  
żłoty piasek do serca się sący,  
żłotym piaskiem tym polskich żołnierzy  
śmierć na zawsze dziś z Polską połączy...

. . . . .

Lecą liście z drzewa, lecą liście,  
jeszcze serce krwią broczy... krwią broczy...  
a już śpiewa swą pieśń legioniście  
wiatr, co dotąd zawsze wiał mu w oczy...

13 października 1915 r.

## MŁODOŚĆ

1

Zakwitła mi młodość moja  
zakwitła, jak wonny kwiat!  
Rzy koń mój i dzwoni zbroja,  
i śmieje się do mnie świat.

Zaciasno mi w starych progach —  
tam kędyś w polu mój los!  
Tententy słyhać na drogach  
i trąbki bojowej głos...

Odzywa się gdzieś daleko  
i woła... woła bez słów.  
— Gościńcem bitym za rzeką  
już ciągnął pancerny huf.

— Jechali z zachodniej strony,  
jest dotąd na rosie ślad. —  
O koniu, koniu mój wrony,  
daleki przed nami świat!

Napoję ciebie ze zdroja,  
pogonię za nimi w ślad!  
Niech kwitnie mi młodość moja,  
niech kwitnie, jak wonny kwiat!

2

I młodość zakwitła cudnie,  
ofiarną spłynęła krwią...  
Jedni polegli w południe  
i cicho pod darnią śpią...

A inni... Swe krzywe szpony  
zatopił mi w sercu ból...  
O koniu, koniu mój wrony,  
pocoś mnie wyniósł z pod kul?

---

## DRZEWKO

W koszarach, w podwójnem oknie,  
z poza pokrytych rdzą krat  
drzewko wycięte z patyka  
radośnie patrzy na świat.

Zielenią się liście — wióry,  
na szyby rzucają cień,  
drażnią jaskrawym grynszpanem  
zawiany śniegami dzień.

Przychodzi biały mróz z nocy,  
na szybie kładzie swą twarz  
i mówi: — Jakie zielone  
ty liście na sobie masz? —

I wciska się mróz przez szpary  
i bieli wiązania krat...  
— O, śmieszne drzewko, piękniejszy  
od ciebie biały mój kwiat!

— Napróżno taką zielenią  
drażni mnie każdy twój liść —  
z kwitnącą, pachnącą wiosną  
nie tobie w zawody iść!

Całuje mróz śmieszne drzewko,  
całuje liście i pień,  
ale jaskrawe grynszpany  
nie bledną od mroźnych tchnień.



Zielenią się liście – wióry  
i przymarzają do krat –  
żołnierskie tęsknoty patrzą  
z tych wiórów na boży świat.

...Zielony step – nieskończony...  
bielona izba i sień...  
na pięciu złotych kopułach  
wstający pali się dzień...

.. Głęboka woda – szeroka,  
śpiew płynie po wodzie w dal:  
– Ciebie mi, ziemio daleka,  
i ciebie mi, wodo, żal! –

...Z dalekiej ziemi, z dalekiej  
śpiew płynie i rośnie w moc –  
na pięciu złotych kopułach  
bezwiezdna kładzie się noc...

Na oknie siedzi mróz biały,  
za oknem srebrzysta dal...  
— Ciebie mi, ziemio daleka,  
i ciebie mi, wodo, żal! —

Zielenią się liście — wióry,  
choć szrony dokoła lśnią —  
żołnierskie głody i chłody  
śmiesznemu drzewku się śnią.

. . . . .

JA ZNAM TEN KRAJ...



Ja znam ten kraj, gdzie nie cytryny rosną,  
nie pyszny laur, nie wonny mirt rozkwita,  
ja znam ten kraj, gdzie dąb rozmawia z sosną  
pod cichy szum falującego żyta.

Ja znam ten kraj, gdzie wiatr nie palmymuska,  
lecz w ciemną noc w przydrożnej łąka olszynie  
i szumi Dniepr i modra Dźwina pluska,  
i Niemen hen! aż pod Królewiec płynie.

Tam ciemny bór mnie szumiał nad kołyską  
w wieczorny zmierzch pogańskie swe pacierze,  
gdy w mroku gwiazd nad ziemią leciał nisko  
ten Anioł Stróż, co snów dziecięcych strzeże.

I dobre sny stawały u wezłowania  
i szarych dni powszedniość czarowały,  
i szumem traw rosnących i sitowia  
mnie srebrną baśń bez słów opowiadały...

2

Ja znam ten gród, gdzie z murów tynk opada  
i starych run obnaża żywe zgłoski —  
pogański mur tam dziwy opowiada  
o bogach swych cudownej Matce Boskiej.

Z kościelnych naw, z pod ciężkiej kolumnady,  
gdzie króle śpią pod białych orłów strażą,  
dziś pełźnie lęk i drży przed tchem zagłady,  
w pomników śpiż wtopionej ręką wrażą.

Ja znam ten gród... tam w podkościelnym lochu  
umarły bunt w zbutwiałej trumnie leży –  
i żaden czyn nie może powstać z prochu,  
i żaden dzwon na trwogę nie uderzy...

Tam z małych serc, jak tynk z omszałych murów,  
opada hart – ten hart bojowych szyków,  
tam z orlich gniazd orłęta bez pazurów  
wychodzą w świat do klatek i kurników...

.....  
Ja znam ten gród...

Pas Wilii srebrnolity  
i gdzieś we mgle Świętego Piotra wieże,  
i gdzieś we mgle rozlanej pod błękity  
pogański gaj, szepczący swe pacierze...

Pacierze mrą u ścian kościelnych murów,  
w załamach bram i ulic labiryncie  
i szepczą, mrąc: – Gdy zbrakło wam pazurów,  
przynajmniej tak, jak bohaterzy, gińcie! –

Lecz oni śpią...

O ziemi, moja ziemi!  
śró d jakich burz i z jaką nową wiosną  
orłétom twym, co w ciasnych kłatkach drzemią,  
z twej żywej krwi pazury znów wyrosną?

---



TYM CO ODESZLI...



Niechaj za wami idzie wszędzie w ślad  
złupionej Polski przekleństwo i krzyk  
dziś, gdy skrwawione ostrza waszych pik  
zakryły dymy palących się chat.

Raz jeszcze świsnął nad głowami bat,  
raz jeszcze ścisnął szyję dziecka stryk —  
ach, to bojowy wasz się złamał szyk,  
to w mrokach nocy znikł «słowianin brat!»

Idź, «słowianinie», idź i dalej niszczy,  
rzuć grozę mordy, krwawe łuny zgłiszcz  
na ciszę pasiek i kwitnących lip.

Niech dziś o tobie mówi dzieciom mym  
niszczący płomień i gryzący dym  
i zgrzyt łańcuchów i szubienic skrzyp...

6 sierpnia 1915 r.

# ODPOWIEDŹ

PANI JADWIDZE MARCINOWSKIEJ.



Słuszny jest, Pani, sąd Twój o ankiecie  
błazeńsko=dziennikarsko=literackiej,  
lecz czemu udział w niej bierzesz, toż przecie  
nie był u Ciebie  
ów pan piszący w gazecie,  
ów redakcyjny totumfacki,  
który na każdym ślubie i pogrzebie,  
na każdym jubileuszu i święconem  
robi notatki.

Wszak nie był i, na ustęp prosząc na momencik,  
nie pytał cukrzonym tonem:

— *Jakże Pani czas wojny służy na talencik,  
jak służą te wypadki?* —

Ty niepytana dałaś głos,  
więc, jak ów pan, co wywiad czyni,  
notuję tu głos polskiej literatki,  
polskiego słowa mistrzyni.

Nie podobała się Pani Warszawa  
«bez myśli, a pełna humoru»  
o Polsce, nic nie wiedząca,  
o Polsce, która krwawa,  
bez chłopskiej wioski, bez pańskiego dworu  
u wrót jej staje pytająca,  
jak jest sprawa?

Nie podobała się taka Warszawa...  
Lecz Ty ją tylko znasz z gazety,  
tyś ucha na jej mokre bruki  
nie kładła, skoro po przez armat huki,  
słyszałaś jeno głos ankiety,  
rozmowę dziennikarza i poety,  
wywiad gruntowny, choć krótki  
na temat literacko=polityczny,  
co jest ważniejszą sprawą,



czy ustrój autonomiczny,  
czy zakaz sprzedaży wódki  
w Warszawie i po za Warszawą?

O Pani, każdy ma swoje smutki...

Lecz czemu, kiedy pod miejskie rogatki  
przyszłaś z tej Polski gorejącej,  
z tej Polski, w której małe dziatki  
bose biegną przed śmiercią, jak spłoszone ptaki  
z pod strzechy płonącej,  
z tej Polski, w której chłop ziemniaki  
surowe gryzie, czemuś usłyszała  
tylko ten jeden głos, ten głos z ankiety?

Wszakże to dzisiaj Polska cała  
swój dzień przeżywa krwawy  
i wielkie serce Warszawy,  
choć wzięte na bagnety  
bije dla dobrej sprawy.

Otwórz swe oczy szerzej, mocniej przyciśnij  
[ucho...  
To nieprawda, że ciemno, to nieprawda, że głucho!

I wierz mi — polski literat wie,  
że treść Polski nie w jego noweli,  
i wierz mi — Ciebie od niego nie dzieli  
nic, choć on wojny spisuje dyaryusz  
dla swoich tylko powieści  
i na pozycye jeździ, jako sanitaryusz,  
i w oczy patrzy niedoli,  
i poematy pisze,  
choć wie,  
że w nich Polski nie zmieści.

Wysłuchaj się w ciszę,  
na „*to czerwone co boli*”  
połóż swe ręce —  
nawet w ulicznej piosence  
usłyszysz pomruki lwie.

3 lutego 1915 r.

## PANU WALEREMU BRIUSOWOWI

1

Z dalekich stepów, z lasów nadwożańskich,  
z pod złotych kopuł, z pod kremłowych ścian  
do nas bezdomnych i do nas bezpańskich  
przyszedłeś straszną zawieruchą gnan.

I powitałeś w imieniu słowiańskich  
ludów radosną obietnicą zmian  
zdeptany wojną, nakształt Czyngischańskich  
szlaków, nasz biedny mazowiecki łąn.

Więc powiedz teraz, czy z tych dział, co bronią  
Dwugłowych orłów padnie jeden strzał,  
choć jeden tylko za Orła z Pogonią?

Bo jeśli padnie, wiem że będzie miał  
moc równą mocom boskim, czy szatańskim  
i wskrzesi Polskę w kraju «Przywiślańskim»...

2

Posłuchaj — dziad mój na czole dwie szramy  
miał od pałasza, ojciec poszedł w las  
walczyć za Polskę gdzieś u Ostrejbramy,  
więc kto powiedział, że w nas ogień zgaś,

że miecz zardzewiał? My miecza nie mamy!  
Pogięta pochwa, postrzępiony pas,  
ze starej klingi krwi dziadowskiej płamy  
starł muzealny stróż i zniszczył czas...

To prawda! — ale w nocy nad okopem,  
gdy staniesz, z polskim pomodlisz się chłopem,  
który tam dzisiaj krwawy bierze chrzest.

A gdy poległych pozbierasz szkaplerze,  
to powiesz: — Polscy tam byli żołnierze! —  
i krzykniesz swoim: — Jeszcze Polska jest! —

---



NA BAGNETY!





Stoi w rowie który przed chwilą sam wykopał. Rów głęboki, w rowie ziemia wilgotna. Mokrym chłodem nasiąkły jego żołnierskie buty.

Jest szary, jesienny wieczór.

Pan Michał stoi w rowie i z odrazą patrzy na swoje brudne ręce. Nigdy nie miał tak brudnych rąk. Dobrze, że nikt nie widzi. Całą noc spędził w wagonie towarowym, w którym wraz z trzydziestukilku towarzyszami przyjechał tu z Warszawy, potem okopywał się w wilgotnej ziemi obok drogi wysadzonej karłowatymi wierzbami, więc nic dziwnego, że ma takie brudne ręce.

Jak sięgnąć okiem, wszędzie szare czapki żołnierskie i lufy karabinów. Długi rów ciągnie się wzdłuż drogi i ginie na zakręcie. Kopało go kilka tysięcy żołnierzy pod nieustannym

ogniem, każdy chciał się jaknajprędzej schować w ziemi. O kilka kroków od pana Michała leży jakiś szeregowiec, któremu kula przebiła czaszkę...

— Jak się nazywał zabity?

Ale nikt nie wie, czy nie pamięta, jak się zabity nazywał. Timow, czy Iwanow? Ktoś wie, że był z gubernii samarskiej, że był żonaty i miał dzieci.

Nieprzyjaciel musi być gdzieś blisko. Z pod czarnej kępy drzew, która wznosi się na końcu pola, lecą kule. Nad samą głową pana Michała lecą kule, pan Michał słyszy ich śmiertelny świst tuż nad sobą i wie, że to śmierć. Więc stoi w mokrym dole i strzela do ciemnej kępy drzew na widnokregu — i chce, żeby każda jego kula niosła wrogowi śmierć. Sam nie wie, z kąd się w nim wzięła ta zaciętość. Niech każda kula spotka czyjąś głowę, czy serce!

Pan Michał od rana nic nie jadł, ale pomimo to głodu nie czuje. Tylko palce zaczynają go boleć od strzelania. Na wskazującym palcu prawej ręki utworzył się pęcherz, na małym ranka, na której zaschło błoto.

Wkrótce jednak muszą przestać strzelać, bo robi się coraz ciemniej. Czarna kępa drzew na końcu pola maleje i wsiąka w mrok, długi pociąg wojskowy już teraz zaledwie odcina się ciemną linią wagonów od coraz to ciemniejszego nieba.

Noc idzie.

Wkrótce umilknie kanonada i palce odpoczyna. Nie można strzelać, kiedy nic nie widać.

— *Czto pan, ruki bafât?* — zapytuje pana Michała sąsiad.

Ale pan Michał nie chce przyznać się do bólu, więc zaprzecza. Ręce go nie boją, może tak strzelać całą noc. Sąsiad patrzy na niego z niedowierzaniem — tęgi chłop z saratowskiej gubernii, Iwan Kolesow, nie wierzy panu Michałowi. Nie takie ręce męczą się i boją od strzelania. To ciężka robota. — *Znajem my wàszawo brata!*

Pan Michał lubi Iwana. Iwan stary chłop, rezerwista, był na japońskiej wojnie, widział nie jedną straszną rzecz. Więc już niech i tak będzie, jak chce Iwan. Ten wskazujący palec boli, ale to drobnostka.

Robi się coraz ciemniej. Kule nad głowami już nie lecą, śmierć nie krąży już nad panem Michałem.

Wzdłuż rowu idzie z ust do ust szeptana komenda — i karabiny milkną.

W okopach zalega cisza. Odpoczynek słodki, pożądanym. Pan Michał wypęza z rowu, kładzie się na ziemi i drzemie. Pan Michał drzemie w jakiejś ciemnej pustyni, w jakimś polu ogromnym i pustym. Jest sam, zupełnie sam... Od miesiąca ani razu nie było mu tak dobrze, jak teraz. W uszach jeszcze trzeszcza

karabinowe strzały, ale już są gdzieś daleko, jakby na jakimś obrazie, wyobrażającym bitwę. To są strzały, w których nie czai się jego śmierć. I pan Michał uśmiecha się przez sen.

Byle nie doszło do spotkania na bagnety! Tak straszno wydierać sobie nawzajem życie, odpierać i zadawać śmiertelne ciosy... A Iwan twierdzi, że to najprzyjemniejsza rzecz, tylko trzeba mocno pchnąć i zakręcić.

I nagle pan Michał słyszy głos Iwana:

— *Nie śpi, pan...*

Więc zrywa się, choć nie rozumie dlaczego nie należy spać. Jest noc i cisza zupełna i dookoła pustynia ciemna.

Pocziwy Iwan stara się mu wytłumaczyć. Niemcy przygotowują się do ataku. Wypelźli z okopów i formują się w szeregi... Przyjdą tu niezawodnie.

Pan Michał wpatruje się w mrok i nic nie widzi. Teraz dopiero zaczyna naprawdę bać się wroga. Pocichu wpełza do rowu i nabija karabin...

A Iwan Kolesow tłumaczy spokojnym, równym szeptem. Teraz nie widać ich jeszcze, ale za chwilę wyłonią się z mroku... Już idą... Wyrosną nagle czarną ścianą tam na środku pola... Wówczas trzeba będzie strzelać, zasy-pać ich kulami.

Już idą... Pan Michał słucha i wpatruje się w mrok.

Jeszcze nie widzi, kiedy inni już widzą, mają oczy przyzwyczajone do mroku — pokazują sobie nawzajem rękami i szepczą... Prawda, już są... Na środku pola porusza się jakiś czarny punkt... Idą zwartą ławą.

To oni... oni...

I nagle wszyscy jego towarzysze i on wraz z nimi zaczynają strzelać. Różowe jakieś błyski i suchy trzask — budzą ciemną jesienną noc. Czarna ściana gdzieś na środku pola kołysze się i pada. Czyżby wszyscy już byli zabici... Nie... nie... oni pełzną. Położyli się na brzuchach i pełzną.

Pan Michał strzela niżej i czuje, że teraz nie trafia — kule grzęzną w ziemi. A oni już są blisko.

W okopach powstaje zamęt.

— *Hurra! Hurra!* — krzyczą żołnierze i wyskakują z dołów.

Pan Michał krzyczy: Hurra! i biegnie wraz z innymi. Dobry Iwan Kolesow jest przy nim.

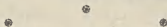
— Trzeba mocno dźgać i zakręcać i uprzędać ciosy — mówi Iwan Kolesow.

I nagle wyrastają przed nimi zwarte szeregi Niemców.

— *Hurra!* — krzyczą żołnierze i walą się na nich ławą.

Bagnet pana Michała grzęźnie w czyjejs piersi. Ktoś jęczy... Zimny dreszcz biegnie po ciele pana Michała. Ktoś chwytą za jego

bagnet rękoma i krzyczy. Pan Michał nie może postąpić kroku — ma śmierć na końcu swego bagnetu. Nie widzi już nic i nic nie słyszy. Stacza się wraz z przeciwnikiem w dół...



Dziś pan Michał leży w szpitalu. Rany ręki i piersi goją się znakomicie, tylko pan Michał nie może dotąd przypomnieć sobie, kim jest i dlaczego leży w szpitalu. Czasem rozmawia z Iwanem Kolesowym, który zginął owej nocy w walce na bagnety.

## PODCZAS WOJNY





W szwedzkim poselstwie w Petersburgu jasny blondyn o dużych niebieskich oczach radził mi jechać do Stockholmu morzem przez Helsingfors. To najprostsza i najkrótsza droga. Za dwie godziny odchodzi statek. Wystarczy wyrzucić oknem, żeby zobaczyć przystań, z której odchodzi statek. Tam za Nową jest Wasiljewski Ostrow. Niech pan jedzie na Wasiljewski Ostrow...

Na ulicy wskoczyłem do pierwszego spotkanego samochodu. Do Europejskiego hotelu!... nie, na dworzec warszawski! Prędej! prędej!

Jechaliśmy prędko, bardzo prędko...

Na dworcu muszą być moi towarzysze, z którymi przed paru dniami przybyłem do Petersburga z Warszawy w celu udania się przez Stockholm i Kopenhagę do Prus, w których wojna zaskoczyła nasze rodziny. Prawdopodobnie są teraz na dworcu, jest bowiem godzina odejścia pociągu do Warszawy.

Na dworcu tłok i ścisk. W pociągu niema miejsc. Ludzie stoją na stopniach wagonów, włączają do wewnątrz przez okna, potracając się nawzajem i klną. Myślą, że chcą również odjechać, więc patrzą na mnie wrogo.

— Nie bójcie się nie zabiorę wam miejsca. Odszukałem tylko dwóch moich towarzyszków, trzeci wysyłał telegramy do wszystkich konsułów w Europie. Może w Szwecyi, może w Szwajcaryi, albo we Włoszech żony nasze zwrócą się do konsulatu po informację, lub pieniądze... Już mieliśmy nawet odpowiedź od rosyjskiego poselstwa w Stockholmie, że dużo osób jedzie z Prus przez Torneo i Finlandyę...

Więc pojedziemy na spotkanie — ale tylko we dwóch, my tylko dwaj bowiem mamy zagraniczne paszporty.

Ogarnia mnie gorączka pośpiechu — możemy się spóźnić na statek. Trzeba zabrać z banku pieniądze, spakować rzeczy. Niech pan jedzie do banku, ja pojedę do hotelu.

W ciągu niecałej godziny załatwiliśmy wszystko.

Statek rusza ledwie zdążyliśmy wejść na pokład. Prócz żandarma, który rewidował nasze papiery, wszyscy mówią po finlandzku i po niemiecku.

Stoimy na pokładzie szczęśliwi, że już jedziemy. Nikt nie wie o której odchodzą pociągi z Helsingforsu do Raumo, ale mniejsza

o to. W szwedzkim poselstwie uprzejmy blondyn o dużych niebieskich oczach zapewnił mnie, że to najbliższa droga.

Płyniemy... Nawa staje się coraz szerszą... Ach, to już morze... Mój towarzysz patrzy i uśmiecha się smutnie... I mnie smutno, panie Ludwiku! Patrzymy obaj na morze i nie mówimy już więcej ani słowa...

Za statkiem lecą mewy.

Siadam w trzcinowym fotelu na pokładzie... Dłaczego za każdym statkiem lecą mewy?

I wówczas leciały mewy i taka sama gładka i srebrna cisza leżała na morzu... Jechaliśmy do Kopenhagi... Dziś szukam ciebie po świecie, a mewy tak samo lecą za statkiem...

Oczy mnie bołą... Czy i pana bołą oczy, panie Ludwiku? Mnie czasem tak mgłą zachodzą, że nic nie widzę. Teraz widzę tylko te trzy mewy, trzy białe mewy na słonecznym lazurze morza... Ach, to wy, moje dzieci! Dobrze, że was widzę, dzieci! Jakie płowe wasze główki i jakie chabrowe oczy!

— To prawdopodobnie od kurzu bołą pana oczy — mówi pan Ludwik i poprawia binokle, które mu naraz zaczynają spadać z nosa.

Zatrzymujemy się u wejścia do Kronsztatu. Długie czerwone i brudno-żółte mury kąpią się w ciemnej wodzie. Dokoła stoją jakieś statki wojenne i krążą motorówki.

Majtkowie spuszczają łódź — kapitan jedzie

zameldować statek w fortecy. Wojskowy pilot przeprowadzi nas przez labirynt min – on jeden tylko zna drogę.

Wszyscy oczekujemy z niecierpliwością powrotu kapitana. Jemy obiad. Czerwone, niskie słońce zagląda przez małe okienka do naszej jadalni. Czerwone niskie słońce schodzi coraz niżej, a kapitan nie wraca.

Ktoś mówi, że pewnie tu będziemy nocowali. Właściwie jednak dlaczego kapitan nie wraca?

Długie czerwone i brudno-żółte mury fortecy zaczynają szarzeć... Robi się coraz ciemniej...

Nareszcie kapitan powrócił. Usiadł na kanapie za stołem i zapalił cygaro... Dzisiaj nie pojedziemy dalej... Dlaczego nie pojedziemy dalej? Kapitan robi tajemniczą minę... Nie pojedziemy, bo jest wojna. Panowie zapominacie że teraz jest wojna. Nie na wszystkie pytania wolno odpowiadać... Kapitan wypluwa listek od cygara, który mu się zaplątał na języku.

– Zagrajmy lepiej preferansa...

Dawno już, dawno nie graliśmy preferansa. Trzeba wszystko przypominać, ale kapitan prawdopodobnie również bardzo dawno nie grał preferansa, bo gra bardzo źle, choć nie lubi przegrywać: Ma czarne zęby i ospowatą twarz. Był pod Czuszimą. Mówi o tem, że był pod Czuszimą i robi tajemniczą minę, a niewyraźny uśmiech błąka się po jego niewyraźnej twarzy...

Pod Czuszimą było źle, bardzo źle... Statek wpadł na minę... Wyobraźcie sobie, panowie — statek wpadł na minę... Kapitana uratowali Niemcy... A dziś... pożał się Boże... Ale kapitan sam jest Niemcem...

Nie klei się nam preferans...

Pan kupił... Nie, ja przeliczywałem pana.

Nagle podjeżdża motorówka i ktoś krzyczy z dołu. Kazań nam zgasić światła i zasłonić okna w kajutach.

— Zapomniałem — woła kapitan i wybiega na pokład.

O jedenastej zrywa się wichur. Wody dookoła zaczynają szumieć i skakać na pokład, statek kołysze się i zatacza.

Przestajemy grać... Ospowata twarz kapitana kurczy się nerwowo, małe oczka patrzą na zasłonięte okna, czarne zęby żują koniec cygara... To źle, bardzo źle... Zkąd się wziął u dyabła ten wichur? Kotwica nie utrzyma... Bóg ją wie — jakaś stara kotwica... a dookoła miny i pływać nie wolno. Gotowi nas rozstrzelać...

Kapitan nie boi się min, to jego stare znajome z pod Czuszimy, ale myśli, że my się boimy...

Ale my się nie boimy min. Chce mi się śmiać. Po co nas straszysz, kapitanie? Życzę ci lekkiej śmierci i dobrej nocy!

Schodzę na dół i kładę się spać.

Chce mi się spać i nie mogę zasnąć. Za cienką ścianą mojej kajuty szumi czarna woda, w czarnej wodzie przymocowane do dna łańcuchami chwieją się oślizgłe od wody miny. Na każdej z nich siedzi śmierć.

Za chwilę zerwiemy się z kotwicy i pojedziemy w objęcia śmierci. Jestem ciekaw, jak się to odbędzie.

Zamykam oczy mocniej i zaczynam drzeć... i czuję, że jedziemy. Więc zerwaliśmy się z kotwicy!... Nie, to już dzień.

— Czy pan słyszy, że już jedziemy? — pyta mnie mój towarzysz?

I w samej rzeczy jedziemy. Morze uspokoiło się zupełnie, tylko tu i owdzie widać ślady pian.

Zasypiam mocno i słodko.

O dziesiątej budzi mnie mój towarzysz...

Kapitan chce grać w karty. Dobrze, będziemy grali... Nie widać brzegów, słońce stoi wysoko nad morzem. Siedzimy na pokładzie i walczymy z wiatrem, który przychodzi z morza rozrzucać nam karty.

W południe zatrzymujemy się u brzegów wysepki Hugland. Wysepka, mały punkcik na mapie na środku Fińskiej zatoki, jak grzyb, wyrasta z morza, stokami siwych skał i czubami karłowatych sosen. Na lewo w lazurowej mgłę morza błyszczy białym murem latarnia morska. W tem miejscu na mapie niema nic.

Będziemy tu stać do dwunastej w nocy. Rzucamy karty — nie chcemy grać dłużej. Dlaczego mamy tu stać do dwunastej w nocy? Kapitan tłumaczy się, jak dziecko. Taki rozkaz otrzymał z Kronsztatu i zapomniał nam o tem powiedzieć.

Stoję na pokładzie i patrzę w słońce. Na brzegu wysepki rybacka wieś. Dokoła wsi karłowate sosny i skały... Na brzegu rybackie łodzie i sieci.

Jak tu cicho!

Można, siedząc na tych siwych kamieniach, patrzeć na morze, można wieczorem zasypiać w tych szarych domkach, a o świcie wyjeżdżać z rybakami na morze i nie wiedzieć nic o wojnie. Żaden wojenny jęk tu nie dołączy!

I nagle przybija do naszego statku rybacka łódź. Rybacy o czymś rozmawiają z kapitanem. Nie rozumiem ich języka, nie wiem czego od niego chcą. Kapitan chce, żebym grał z nim w karty, więc mi uprzejmie tłumaczy, że jest zakaz łowienia ryb i wogóle wyjeżdżania na morze, a oni chcą łowić ryby.

Nie rozumiem dlaczego tym biedakom nie wolno tego czynić. Kapitan uśmiecha się, uśmiecha się pobłażliwie. Przecież teraz jest wojna. A dlaczego musimy stać tu do północy? Przecież mówiłem panu, że teraz jest wojna. I kapitan znowu uśmiecha się pobłażliwie. Nie

należy zapominać o tem, że teraz jest wojna. Więc, żeby zapamiętać sobie dobrze i wojnę i kapitana zaraz po śniadaniu siadamy do preferansa i potem po obiedzie robimy to samo, aż do nocy.

Chce mi się spać... już nie będę grać dłużej. W rybackiej wioszczynie pogasły wszystkie światła, gdzieś za wyspą szumi morze. Może już pojedziemy, kapitanie! Dobrze, już dwunasta. Po chwili odpływamy.

I zerwał się wicher. Wyleciał z poza wyspy i rzucił się na nasz statek.

Co robią te trzy mewy, które leciały za nami?

Nie mogę ustać na nogach, więc kładę się w kajucie i zamykam oczy. Boli mnie czoło i pierś. Ktoś między oczy położył mi ołowiane ciężary i przywalił pierś kamieniem.

— Pan ma zupełnie białe usta—mówi mi mój towarzysz i sam ma białe usta, jak kreda.

Wszystko przewraca się i leci. Prawdopodobnie nie dopłyniemy nigdzie.

Śmierć jest wszędzie.

Jestem strasznie samotny i mocuję się ze śmiercią.

Zalej mnie, wielkie czarne morze, zakryj mnie swoim śmiertelnym całunem, wodo szumiąca!

I morze rzuca się na statek ze zdwojoną zaciekłością.



Nad ranem wpadłem w jakieś omdlenie nieprzytomne, gdy poczułem nagle, że dojeżdżamy. Co to? Helsingfors?

Wyrzałem przez małe okienko.

Wjeżdżaliśmy do jakiejś przystani. Dokoła stały statki.

Helsingfors!

Głowa bolała mnie jeszcze. Całą noc nie paliłem, na statku bowiem zabrakło papierosów. Ręce mi się trzęsły i z trudem wciągałem na siebie marynarkę, gdy do kajuty wpadł mój towarzysz... To nie Helsingfors – to Rewell! Miał oczy prawie białe i twarz ciemną, jak ziemia...

– To Rewell!

Wybiegliśmy obaj na pokład.

– Co to jest? – krzyczał pan Ludwik. – Dlaczego wozicie nas po całej zatoce? Dlaczego sprzedając bilety, nie uprzedziliście nas o tem? Czy jesteście jeńcami, że z nami tak postępujecie? Nawet papierosów wam zabrakło!

Kapitan kręcił głową, nie uśmiechał się i nic nie mówił o wojnie.

– Nie można było inaczej... Za cztery godziny będziemy w Helsingforsie... Doprawdy nie można było inaczej. Za chwilę przywiozę panom papierosów.

Zeszedłem na dół i położyłem się spać. Nie chcę twego preferansa, ani twoich papierosów.

Obudziłem się w Helsingforsie.

Było szare, ciepłe popołudnie — prawie wieczór.

— Dowidzenia w Warszawie! — wołał za nami kapitan.

— Jakim sposobem w Warszawie? — chciałem go zapytać, gdy rozdzielili nas wysiadający ze statku pasażerowie.

— A jednak — mówił mi mój towarzysz, kiedyśmy już siedzieli w wagonie, — ten kapitan pamiętał o nas i przywiózł nam papierosów. To nie był taki zły człowiek.

Byłem jednak wówczas zły na wszystkich i na wszystko, więc pomyślałem sobie, że takich dobrych ludzi, jak mój towarzysz, podczas wojny należy rozstrzeliwać.

*W sierpniu 1914 r.*

## PANICZNA PODRÓŻ

O trzeciej w nocy na jakiejś małej stacyi pomiędzy Rahimaki i Tamerforsem, gdzieś w głębi Finlandyi, wskoczyliśmy do ostatniego wagonu bardzo długiego pociągu, dążącego z Torneo do Petersburga. Mieliśmy zamiar przejść przez wszystkie wagony i w Rahimaki wysiąść, by w ten sam sposób znowu spotkać następny pociąg.

Szukaliśmy swoich rodzin. Wojna zaskoczyła je w Prusach. Jeszcze nie wiedzieliśmy co to jest wojna, jeszcze byliśmy pewni, że ten huragan zaraz przycichnie, gdy naraz listy przestały przychodzić, a ludzie z jakąś okrutną rozkoszą jęli kolportować coraz rozpaczliwsze wiadomości... Kogoś rozstrzelano na stacyi, kogoś za-  
deptano w tłoku...

Ogarnął nas paniczny strach. Wszystko może się stać podczas wojny. Patrzyliśmy so-

bie w oczy i baliśmy się obaj, że wyczytamy w nich nawzajem tę samą myśl okrutną, że wszystko może się stać podczas wojny.

Towarzysz mój pan Ludwik, dobry człowiek najniepotrzebniej w świecie wspomniał przed chwilą, kiedyśmy stali zziębnięci w przeczystym mroku północnej nocy na pustym peronie, że kogoś rozstrzelano na jakiejś stacyi i kogoś zdeptano w tłoku. Pamiętam, wszystko pamiętam, panie Ludwiku! I tę służącą z Warszawy na peronie w Rahimaki, pierwszą polkę spotkaną w Finlandyi, pamiętam.

— Taką panią — mówiła mi ona — akurat z takimi samemi dziećmi to widziałam w Szczecinie. Ale ona ztamtąd pewnie nie wyjechała. Mówili że się jej krew gardłem rzuciła. Akurat była taka sama, jak pan mówi i dzieci miała... dwie córki i syna... a może dwóch synów... nie pamiętam.

Wówczas ucieszyłem się, że nie pamięta. Co za szczęście, że ma taką krótką pamięć!

Ale ja mam dobrą pamięć, panie Ludwiku... Więc straszno mi i smutno.

Na ciężkim, czarnym koniu jedzie szara śmierć... jedzie szara śmierć i kosi... Czy pan widział ten obraz Boeclina? Wojna jest wszędzie... Pamięta pan tę małą rybacką wioszczykę na Huglandzie, tę wioszczykę, w której na ulicy leżało słońce i bawiły się dzieci. Patrząc z pokładu naszego statku na tę wysepkę my-

ślałem, że po tej słonecznej ulicy cicho wlecze się proste rybackie życie, pływa w łodziach po gładkiem morzu, a wieczorem zasypia słodko w niskich chatkach pod strażą rozwieszonych na płotach sieci. A pamięta pan potem tę rybacką łódź, która zbliżyła się do naszego statku? Kapitan wyszedł na pokład. Czego chcą od niego rybacy? Czy przywieźli ryby na sprzedaż? – Ryby? Oni nie mają ryb, wszak im nie wolno wyjeżdżać na pełne morze. A na wyspie tylko skały i piaski – skały i piaski nic nie rodzą. Gdyby wielmożny kapitan chciał powiedzieć tam w Petersburgu o tem, poprosić...

Ale kapitan tylko machnął ręką.

– Teraz wojna...

Łódź zakołysała się gwałtownie... Więc będą umierali z głodu...

Tak, panie Ludwiku, wojna jest wszędzie. I wówczas otaczające peron czarne sosny zaszumiały naraz gwałtowniej i przechadzający się po peronie z karabinem w ręku sztyldwach przeszedł koło nas.

Była trzecia godzina, kiedy wskakiwaliśmy do pociągu. Niech pan zacznie od lokomotywy, ja tu zostanę.

Wsunąłem się przez nawpółotwarte drzwi do środka wagonu. Na ławkach i na podłodze leżeli ludzie. Było brudno i duszno.

Ktoś z ciemnego kąta ofuknął po rosyjsku:

– Niema miejsca i jest późna noc...

— To prawda, że jest noc, ale ja miejsca nie szukam — odpowiedziałem po polsku.

— Ach, to pan?

Spojrzałem zdumiony. Pochyliłem się nieco naprzód, bo głos wychodził z pod ławki. Znajoma moja z Warszawy wcale nie była podobna do mojej znajomej.

— Pani...

— Pan szuka żony? Niech pan wraca z nami do Petersburga.

Patrzyłem z niedowierzaniem. Dlaczego miałem wracać do Petersburga? Pani jest bardzo zmęczona podróżą?

— Myśmy wyjechali z Torneo wczoraj, a żona pańska przedwczoraj. Widziałam ją wsiadającą do wagonu.

Osunąłem się na ławkę bezwładny i nie mogłem się poruszyć. Oczy napelniły się mgłą i piaskiem. Co za nieprzyjemne uczucie! Miałem pod powiekami piasek. Chciało mi się płakać i spać. I byłbym tak spał kamiennym snem, gdyby nie to, że obudziłem cały wagon i cały wagon zaczął zasypywać mnie pytaniami. Spadały na mnie, jak grad, i budziły mnie z bezwładnego snu.

Warszawa... prawda! przyjechałem z Warszawy, niedawno byłem w Warszawie. Morze, rybacy, wysepka i ten straszny preferans z kapitanem — to było przedtem. A w Warszawie niema pieniędzy, niema mąki i węgla, niema

miejsca w pociągach i niema Polski. Wyobraźcie sobie państwo w Warszawie zabrakło Polaki — sam widziałem kozaka ubranego kwiatami...

I nagle wydało mi się że siedzę na zalanej słońcem ulicy z rybackimi dziećmi w małej rybackiej wioszczynie.

A za oknem wagonu w szarym brzasku budzącego się dnia przesuwały się, uciekały gdzieś od nas sosnowe lasy pełne siwych kamieni, srebrne jeziora i czerwone domki finlandzkich wiossek.

Tak dojechaliśmy o piątej rano do stacyi Rahimaki, gdzie musiałem się pożegnać z miłym towarzyszem podróży. Dowiedział się on, że rodzina jego została w Prusach.

Ciężko nam było się rozstawać.

— Szczęśliwej podróży, panie Ludwiku!

I znowu wpadliśmy w sosnowe lasy, pełne jezior i siwych kamieni.

Pociąg sunął wolno.

Zaznajomiłem się z jadącymi. Trzydzieści dni i trzydzieści nocy jechali bez przerwy. Doktor filozofii wyglądał, jak ślusarz, pani dyrektorowa, jak stróżka. Pożał się Boże! Jechali przez Trelleborg, Stockholm, Lulea i Torneo bez rzeczy, siedzieli zamknięci w wagonach po 24 godziny, mokli na deszczu pod gołym niebem obok pustego peronu pod dachem, nocowali w rzeźni szczecińskiej i spali pod ławkami wagonów.

Była to paniczna podróż.

Jakieś pięcioletnie dziecko spadło z promu i utonęło, jakaś matka zwaryowała... Słyszeli o tem w Haparandzie, ale nie pamiętają nazwisk...

Dopiero o szóstej rano dnia następnego stanęliśmy w Petersburgu.

Długo, długo nie mogłem znaleźć adresu swojej żony. Wszyscy znajomi na dworcu wiedzieli, że przyjechała, ale nie wiedzieli, gdzie się zatrzymała.

Boże! ten Petersburg takie duże i takie dziwne miasto!

— Nic się nie stało... czemu tak na nas patrzysz? — wołały dzieci, kiedy wreszcie wieczorem odnalazłem ich w jakimś hotelu — jechaliliśmy długo, długo... było trochę straszno, ale to przeszło...

A kiedy potem na ulicy spotkaliśmy żołnierza, mały synek mój prosił mnie, żebym nie mówił głośno po polsku.

— Dlaczego mam mówić cicho?

— Bo zastrzelili...

Wówczas zrozumiałem, że musiało mu być straszno i źle w tej długiej podróży.

*We wrześniu 1914 r.*



## W POCIĄGU SANITARNYM

Po naprawionych naprędce torach, wloką się już pociągi wojskowe i sanitarne, a dookoła, jak okiem sięgnąć, pustynia wielka, ziemia stratowana i zdeptana, ziemia pocięta okopami i poryta ogniem armatnich wybuchów — cała Polska.

Tor naprawiono prowizorycznie, przez rzeki rzucono drewniane mosty, podarte dynamitem zwrotnice na stacyach zastąpiono nowemi i tym sposobem uruchomiono naprędce te długie pociągi, które przewożą żołnierzy na pozycye i rannych z pobojowiska.

Dziś jedzie siódma grupa Polskiego Komitetu pomocy sanitarnej, dokąd — nikt nie wie, każdy chce jechać jak najdalej.

Do pociągu wojskowego odchodzącego ze stacji towarowej w nocy mają dołączyć wagon klasy drugiej wyłącznie dla sanitaryuszów.

Pojedziemy wygodnie.

Jest 12=ta w nocy. Zebraliśmy się wszyscy na dworcu osobowym i czekamy. Pociąg ma podobno odejść za chwilę, ale nikt nie wie, czy odejdzie. Ktoś zapewnia, że nie odejdzie wcale, gdy nagle pada komenda:

— Panowie do szeregu!

Stajemy na peronie parami po żołniersku. Prowadzą nas pociemku do wagonu towarowego, przyczepionego do lokomotywy i stojącego gdzieś na uboczu za dworcem. Strasznie trudno wdrapać się wprost z plantu do wysokiego wagonu bez stopni.

W ciemnym wagonie ciasno i gwarno — stoimy obok siebie i na zwrotnicach wspieramy się wzajemnie. Ktoś nieśmiało nuci jakąś żalobną pieśń — modlitwę, lokomotywa gwizdże co chwila.

Na stacyi towarowej przesiadamy do wagonu klasy drugiej, przyczepionego dla nas specjalnie do pociągu wojskowego.

Nie wszyscy mamy miejsca siedzące.

Pociąg rusza.

Noc księżycowa stoi nad nami srebrną kopułą.

Ponieważ nie wszyscy mamy miejsca siedzące stoję w kurytarzu i patrzę w srebrną poświatę księżyca, która zieloną mgłą ściela się na dalekich i niskich polach.

Przy mnie stoi kolega sanitaryusz.

Pociąg wlecze się wolno, bardzo wolno. Ostrożnie, jakby z lękiem, suniemy po drewnianym moście. Obok wiszą nad wodą podarte przęsła starego mostu. Tuż przy moście czarne jamy okopów i biały krzyż skłcony z desek.

To mogiła żołnierska.

Dziwny smutek wieje od tego grobu, na którym nigdy nikt nie zapłacze.

— Patrz pan, jaki krzyż... — mówi kolega sanitaryusz.

W głosie kolegi wyczuwam ten sam smutek, który owiał mnie przed chwilą.

Mijamy małą miejscinę. Nie widać ani jednego światła w oknach. Księżyc osrebrza poszarpane armatnimi strzałami ściany i szkielety spalonych dachów. W parku ciągnącym się z lewej strony wzdłuż toru widać drzewa potrzaskane szrapnelami. Budynek stacyjny ocalał, tylko wybuch armatniego pocisku wydarł mu kawał dachu i zburzył część ściany frontowej.

I dalej za stacją znowu pola równe i domy bez świateł — milczące.

Zbliżamy się powoli do placu boju. Już słychać daleki huk armat, już nie głuszy go żelazny zgrzyt pociągu.

Nagle zatrzymujemy się w polu. Co to? Dlaczego zatrzymaliśmy się w polu?

Wychodzimy z wagonu.

Jest mały przymrozek na polu. Słyszymy, jak gdzieś skrzypią koła od strony wysokiej kępy czarnych drzew.

To wiozą rannych.

Armaty gdzieś grają i błękitne ognie wybuchających szrapnelów zapalają się i gasną na niebie, gdzieś nad wysoką kępą czarnych drzew.

Rannych jest tylko pięciu — przywieźli ich okoliczni chłopci. Rany są ciężkie.

Ostrożnie ułożyliśmy ich na noszach, ostrożnie wnieśliśmy nosze do jednego z wagonów i pociąg zda się ostrożniej ruszył z miejsca, przecie każde szarpnięcie może zabołeć.

Znowu stoję u okna w ciasnym kurytarzu z tym samym kolegą sanitaryuszem, co poprzednio.

Kolega mówi:

— Właśnie w tem miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się przed chwilą niedawno wrzał zacięty bój. Ta czarna kępa drzew na horyzoncie, to cmentarz. Stała tam artyleria rosyjska. Na tę łączkę padały pociski niemieckie, a myśmy z naszym oddziałem sanitarnym znajdowali się w małej kotlinie po tamtej stronie plantu. Robota była ciężka. W ciasnej izbie pracowało naraz kilku lekarzy. Widzi pan ten rów? Wzdłuż tego rowu biegli do nas ranni. Jedni trzymali przestrelone ręce do góry, jak świece podczas procesyi, inni

skakali na jednej nodze, opierając się na karabinie, jak na kuli, inni znów w pół drogi padali, jak zranione ptaki, które już dalej lecieć nie mogą. Przywieźliśmy dnia tego pięciuset rannych — z nich kilku umarło w drodze, kilku na dworcu.

Rozdzielił nas na chwilę przeciskający się przez wązki kurytarz żołnierz z opaską czerwonego krzyża na ramieniu — i towarzysz mój umilkł.

Armaty grały coraz głośniej, a ja z trwożą patrzyłem na to pole, na które ludzie padali, jak zranione ptaki, które już dalej lecieć nie mogą.

*W listopadzie 1914 r.*

## MODLIN

Modlin upadł... Wszyscy myśleli, że Modlin jest twierdzą nie do zdobycia — i nagle Modlin upadł. Podziemne kurytarze o betonowych sklepieniach nie wytrzymały huraganu wojny.

Dziś działa milczą. Śmiertelna cisza do stygnących łuf przyciska swoje na wieki nieme usta. Podarte złomy betonowe na niskich fortach świadczą o sile ostatnich wybuchów.

Tu była śmierć!

A dokoła leży straszna pustynia. Po wsiach zostały tylko okopcone kominy i żórawie studzienne po dworach oplecione drutem kolczastym pnie drzew owocowych i popękane kafle pieców na pogorzeliakach.

W środku tej pustyni, przy ujściu Narwi do Wisły, w malowniczym trójkącie leży Modlin.

Jedziemy lewym brzegiem Wisły. Powoli wyłania się przed naszymi oczyma z mgły porannej, zatopiony w srebrnej Wiśle i w zieleni niskich drzew, długi, strasznie długi gmach cytadeli. Patrzy na nas z poza wody i zieleni

przeraźliwą pustką okopconych okien, wita nas czarnymi tarasami napoły zrujnowanej wieży.

Mijamy jakąś wieś i jedziemy jeszcze ze dwie wiorsty nasypem fortecznym. Z prawej strony mamy Wisłę, z lewej — kanały trzcina zarosłe, pełne spleśniałej wody i niskich podziemnych murów z pustymi otworami na armaty i strzelnicami dla karabinów.

Dorożkarz zna drogę, wie gdzie się zatrzymać, gdzie za drzewami jest ukryta łódka, która nas na prawy brzeg Wisły przewiezie.

To tu — woła, zatrzymując nagle konia.

Po schodach, skleconych z desek, schodzimy z nasypu i po chwili znajdujemy się u przewozu. Żołnierz niemiecki pozwala trzem jeńcom przewieźć nas przez Wisłę.

Niebo szare i Wisła szara, jak szynele jeńców, którzy milczą smutnie.

— Atkuda, panowie! — pyta nas jeden z nich.

— Z Warszawy.

— A ja z Besarabii.. i ona zabrana.. i cały świat..

Łódź zakolysała się pod naporem jego wiosła.

— Nie daj Boh!.. — westchnął po cichu i utkwiał siwe oczy w szarej, jak niebo, wodzie.

Jeszcze kilka uderzeń wiosła i jesteśmy na brzegu. Brzeg wysoki, spadzisty. Właśnie w tem miejscu gdzieś na górze nad nami kończy się fronton spalonej cytadeli.

Idziemy brzegiem Wisły, pniemy się pod górę, mijamy jakieś ogródki, w których ktoś

pielęgnował kwiaty, i jakieś wille, w których niedawno jeszcze ktoś mieszkał.

Dziś niema tu kwiatów i niema ludzi.

Idziemy po porzuconych szynelach i czapkach, wdeptujemy w błoto niewystrzelone ładunki i zardzewiałe bagnety.

Jakieś łachmany i papiery... Co to? List... Podnoszę z ziemi mokry i pomięty list.

Niewprawna ręka kreśliła nierówne słowa.

«Kochany Szymku! Kiedyż wreszcie powrócisz? Cały nasz dobytek zmarniał bez ciebie i kwiaty w doniczkach powiędły...»

Dalej nic już wyczytać nie mogę. Jej łyzy, czy deszcz zmył resztę liter.

Dalej idziemy łąką bez drogi, byle dostać się do pierwszej bramy. Na środku łąki dwa rzędy białych krzyżów. Żołnierze kopią jeszcze jeden grób. Ktoś widocznie umarł w szpitalu.

Może dla tego Szymka kopią grób, dla tego Szymka, bez którego zmarniał dobytek w chacie i powiędły kwiaty w doniczkach.

Za łąką i niewielkim zagajnikiem jest brama Księcia Warszawskiego. Przez tę bramę wchodzimy do twierdzy.

Zrazu idziemy przez piękny park, przez jakieś zadrzewione ulice i po kwadransie drogi jesteśmy w środku zrujnowanej i spalonej cytadeli.

Jęncy rosyjscy naprawiają most nad fosą. Jest ich dwudziestu; ręce mają twarde i twarze czarne... Mały synek mój ściąga nagle z głowy



siwą strzelecką maciejówkę z orzełkiem i chowa ją pod połę paltocika.

— Co ty robisz? Po co zdejmujesz czapkę? Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— Jakto, ty nie wiesz? Przecież tu są Rosyanie. Patrzy na mnie i dziwi się, że chcę, żeby przy żołnierzach rosyjskich chodził w maciejówce.

Chce mi się śmiać i płakać. Kto go nauczył z czym i przed kim ma się kryć? Rosyjscy żołnierze i strzelecka maciejówka.

Idziemy od bramy do bramy, zaglądamy do wnętrza spalonych murów, podziwiamy postrzelane ściany i podziurowane dachy i wielkie doły, utworzone przez pociski armatnie.

To «gruba Berta», to jej ślady.

Z niskich fos wstaje po deszczu jakiś trupi zapach, z głębi rozwalonych murów wypelza drażniąca i niemiła woń wilgotnej spalenizny.

A tam poza obrębem starej cytadeli w pięknym parku nie znać śladów zniszczenia.

Ciche jesienne popołudnie śmieje się do nas i oplata srebrnymi nitkami babiego lata piramidy pocisków armatnich, których nie zdążono użyć do obrony twierdzy.

— Nałóż swą maciejówkę, dziecko! Ci rosyjscy żołnierze nie zrobią ci krzywdy. Oni nie wystrzelali nawet wszystkich ładunków w obronie Modlina. To dobrzy ludzie...

*We wrześniu 1915 r.*

# SPIS RZECZY.

	Str.
TA CO NIE ZGINEŁA . . . . .	7
Sen o szpadzie . . . . .	10
Czy Ty wyrośniesz . . . . .	12
Kto Ciebie chciał, ten wierzył . . . . .	14
Szły tędy pułki kozackie . . . . .	17
Wiosna . . . . .	21
O, pola krwią napojone . . . . .	23
Ojczyzna . . . . .	25
Rozdziobią nas . . . . .	30
NA ZGLISZCZACH . . . . .	33
Bociany . . . . .	36
W słońcu i kwiatach . . . . .	38
Dziad . . . . .	40
A GDY NA WOJENKĘ SZLI OJCZYŹNIE SŁUŻYĆ . . . . .	49
W borach . . . . .	51
Kiedy zginę . . . . .	53
Mój miły . . . . .	56
Pan Belina . . . . .	59
O, mój rozmarynie . . . . .	61
Grób strzelca . . . . .	64
Młodość . . . . .	68
Drzewko . . . . .	71
JA ZNAM TEN KRAJ . . . . .	75
TYM CO ODESZLI . . . . .	81
ODPOWIEDŹ . . . . .	
Pani Jadwidze Marcinowskiej . . . . .	85
Panu Waleremu Briusowowi . . . . .	91
NA BAGNETY . . . . .	95
PODCZAS WOJNY . . . . .	103
Paniczna podróż . . . . .	115
W pociągu sanitarnym . . . . .	121
Modlin . . . . .	126

OKŁADKĘ RYSOWAŁ  
*PROF. ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI.*

*Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S=ka w Warszawie.*

## TEGOŻ AUTORA:

- Dla mojej Pani.* Warszawa, 1908 (wyczerpane).  
*Z wiosennych dum.* Warszawa, 1898 (wyczerpane).  
*Poezye.* Warszawa, 1899 (wyczerpane).  
*Obłąkany.* Poemat odznaczony na konkursie «Prawdy»  
(niewydany).  
\* \* \* zeszyt bez tytułu. Warszawa, 1900 (wyczerpane).  
*Poematy: Pieśń, Mary.* Warszawa, 1901 (wyczerpane).  
*Do Boga.* Poemat. Warszawa, 1901 (wyczerpane).  
*Noc.* Warszawa, 1902 (wyczerpane).  
*Wiesio.* Wilno, 1903 (wyczerpane).  
*Okruchy.* Wilno, 1904 (wyczerpane).  
*Pieśń nad pieśniami.* Warszawa, 1904 (wyczerpane).  
*Fragmenty.* Warszawa, 1905 (wyczerpane).  
*Bezimiénce.* Opowiadania dzisiejsze. Warszawa, 1907  
(wyczerpane).  
*Przebudzenie.* Warszawa, 1907 (skonfiskowane).  
*Jeszcze wciąż pełen wiosny.* Warszawa, 1909 (wy-  
czerpane).  
*Z pod szronu.* Warszawa, 1910 (wyczerpane).  
*W więzieniu.* Nowele, 1911 (wyczerpane).  
*Partya.* Romans rewolucyjny. 1911.  
*Wybór poezyi.* 1911.  
*Bezimiénce.* Wydanie drugie.  
*Nieżęty kłos.* Poezye, 1913 (wyczerpane).  
*Powrót.* Nowele. 1914.  
*W więzieniu.* Nowele. Wydanie drugie.  
*Miłość.* Nowele.  
*Nieżęty kłos.* Poezye. 1914. Wydanie drugie.  
*Ta, co nie zginęła.* Poezye Z. Dębickiego i E. Słoń-  
skiego. 1915 (wyczerpane).  
*Idzie żołnierz borem lasem* Warszawa 1916 r. Wydanie  
pierwsze (wyczerpane).